Nr. 32. We Lwowie dnia 12. sierpnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

Już świat starożytny tłómaczył rozmaicie znaczenie wyobrażeń mitycznych. Najbardziej rozpowszechniony wykład, przypisywany Anaxagorasowi, dopatrywał w postaciach mitycznych ucieleśnienie idealnych przymiotów ludzkich. Zeus miał oznaczać rozum, Atene sztukę itp. Metoda ta prowadziła do alegoryzmu okrywającego dowolnie etyczną myśl spłowiałą szatą mitu. Drugi kierunek, »eumeryzmem« zwany, od Euemerosa, autora fantastycznego państwa Bogów, skłaniał się do racjonalizmu, widział w bóstwach poprostu ludzi. Trzeci kierunek uprawiany przez »stoików« podkładał mitom fizyczne, przyrodnicze znaczenie. Zeus oznaczał ogień, Pozejdon wodę, a Hades powietrze. Odnośnie do eumeryzmu, ściągającego mitologją do poziomu bajek, śrubowali ją stoicy do znaczenia najogólniejszych abstrakcyj. Tamci ogołacali mitologją z ducha, ci zaś pozbawiali ją ciała.

Wykład wyobrażeń mitycznych posunęli po humanistach dopiero encyklopedyści, którzy pomijając racjonalistów upatrujących w mitologji źródło szalbierki kapłańskiej, uważali je jako wytwór historyczny, podlegający prawom rozwoju ducha ludzkiego. »Symbolicy« z Creuzerém na czele, autorem dzieła »Symbolik und Mythologie« 1810), posługujący się trzema metodami starożytnych badaczy (racjonalno-historyczną, astronomiczno-fizyczną i moralno-alegoryczną, najczęściej tą ostatnią), tłómaczą mity głównie, jako widome znaki niepojętych i nieskończonych idei.

W teorji symbolików ma system wierzeń mitycznych obejmować tajemnicę wiary i natury, to jednak co podawali w praktyce, jako źródło mitów była zazwyczaj jakaś powszednia myśl, która niewiadomo dlaczego potrzebowała tej symbolicznej draperji.

Do szkoły tej zaliczają się F. Lajard *(Recherches sur le culte public en Orient et Occident Paris* 1867), Rinck *(Die Religion der Hellenenen aus den Mythen entwickelt Zurich* 1853), Bachr *(Symbolik des mosaischen Cultus* 1874) i wielu innych.

W przeciwieństwie do symbolików twierdzili »racjonaliści« (w Niemczech J. H. Voss: *Anti-Symbolik*, we Francji Renan: *Etudes des l'histoire religieuse*, w Anglji Grote itd.), że myśl nie leży ukrytą po za mitem, spowitą w alegorji, lecz jest wyrażoną w micie samym. Osnowa mitu nie powinna być większą od niego — jak to się zdarza u symbolików — ani też mniejszą. Racjonaliści nie przypuszczali irracjonalizmu w tworzeniu mitów, czego niestety zbyt liczne mamy dowody już w samem wiązaniu motywów mitycznych. Największy zaś nacisk kładli na antropomorficzny charakter wierzeń z wyłączeniem bezpośredniego kultu natury. Grek zdaniem ich nie uwielbiał słońca, lecz czcił boga Heliosa obdarzającego świat dobrodziejstwami światła i ciepła. W rozwoju mitologji zajmuje ważne stanowisko »szkoła meteorologiczno-geograficzna« przypisująca powstanie mitów wpływom klimatu i ziemi. Podanie o śmierci Heraklesa jest zdaniem mitologów tej szkoły antropomorfozą oderwania się wyspy Eubei od stałego lądu. Nie da się zaprzeczyć ścisły związek mitów z miejscowością, odnoszeniem jednak każdego motywu mitycznego do miejscowych warunków zapoznaje się zupełnie charakter kosmopolityczny wierzeń. Do szkoły tej należą przeważnie filologowie klasyczni. Forchhamer np. tłómaczy całe podanie trojańskie właściwościami płaszczyzny trojańskiej, Roscher uważą Centaurów za strumienie górskie Tesalji, a Schoemann przedstawia Chimerę, jako siłę wulkaniczną.

Z odkryciem nieznanej dotychczas skarbnicy podań i pieśni ludowych następuje zwrot w pojmowaniu wyobrażeń mitycznych, uważanych odtąd za twory fantazji ludowej. Na czele tego kierunku stoją »bracia Grimmowie«, podejmujący badanie mitów na gruncie indoeuropejskim i od-

noszący powstanie ich do czasów praaryjskiej wspólności. Szkoła Grimma akcentuje jednak silnie, rodzimy charakter tradycji ludowej, porównywa ona wierzenia ludowe z językiem ludu. Tu i tam, wciśnie się nieraz obce słowo, niejeden obcy mit zwłaszcza na pograniczu ludów, lecz jak język jest własnością ludu tak i jego wyobrażenie mityczne wyrastają na własnej glebie, lud bowiem nie podatny na wpływy obce pozostaje sobie samemu, swej ziemi i swojej tradycji wiernym.

Poznanie pieśni wedyjskich (najstarszego pomnika zachowanej do naszych czasów poezji) tworzy nową epokę w rozwoju mitologji. Poetyczne porównania zjawisk natury, których się szkoła Grimmów domyśliwała w greckiej i germańskiej mitologji, odżyły nagle w Wedach. Przed oczyma ówczesnych uczonych rozgrywał się akt narodzin mitu.

W Rigwedzie, zbliżonej do okresu przedhistorycznego, miały być jeszcze wyraźne ślady tej »mitycznej apercepcji«. Oto z porównań wyrastały mity, które oderwane od odpowiedniego tła natury, rozsnuwane przez tradycją, przemieniały się z ogólnego stale powtarzającego się zjawiska na jeden konkretny wypadek. Źródła mitu, leżą tedy w otaczającej człowieka pierwotnego naturze. Tłomaczenie to podań ze zjawisk przyrody dało początek dwom kierunkom mitologji porównawczej: »solarnemu«, którego przedstawicielem jest Max Müller (głównie Oxford Essays 1856) i »nubilarnemu«, na której czele stoi Adalbert Kuhn *(Herabkunft des Feuers* II. wyd. 1884). Przeciwstawiając lingwistycznym argumentom obu kierunków, podaje na szerszych podstawach oparte dowody historyczne, najnowsza »szkoła historyczna«, której przedstawicielem jest w Niemczech Gruppe: *(Die Grichischen Culte und Mythen* 1887). Przeciw cofaniu tradycji ludowej do czasów wspólności ludów przemawiają względy paleontologiczne. Metoda etymologów porównawczych odtworzenia przy pomocy języka najstarszej kultury, w czem najdalej zaszedł Pictet w swem romantycznem dziele *Origines Indoeurope'ennes*, przedstawiająca stan kultury pierwotnej, jako kwitnący została w fundamentach zachwianą przez najnowsze odkrycia paleontologiczne, wykazujące bardzo niski stan rozwoju wspólnie mieszkających ludów aryjskich. Badania lingwistyki porównawczej stanęły w sprzeczności z badaniami etnologicznemi, jak to wykazuje dzieło O. Schradera: *(Sprachvergleichung u. Urgeschichte* Jena 1883). Ktoby np. z zupełnej zgodności podań o raju szeroko po świecie rozpowszechnionych, chciał wnosić, że podanie to powstało w czasach pierwotnych, ten musiałby przyjąć wysoki w owych czasach stan ogrodnictwa i sadownictwa, a przecież wiadomo, że drzewa owocowe wprowadzono nawet do Grecji dopiero w czasach historycznych. Przemawiają też przeciw starożytności tego podania i względy historyczne, okres staro-wedyjski nie wie zgoła nic o błogiej szczęśliwości życia pozagrobowego, to samo da się powiedzieć o czasach homerowskich nierozróżniających jeszcze w Hadesie dobrych od złych cieni.

(Ciąg dal. nast.). *Henryk Biegeleisen.*

Z ALP.

(WRAŻENIA).

I.

Na jeziorze Czterech Kantonów.

5.

Wlokła się dusza z skrzydły zmęczonemi.
Smętna i z skargą na ten los, co łamie
Wszystkie szlachetne wysiłki tej ziemi,
Pragnącej spocząć aż tam! w Raju bramie.

Zdawało jej się, że z piekielnej chemji
Nędz i walk ludzkich apostazji znamię
Wyniesie z sobą, że ją krzyk oniemi
Kupczących w świętym człowieczeństwa chramie.

I z rezygnacją swój bardon wojenny.
Jak zagaszoną rzuciła pochodnię,
Myśląc, że na nic pieśń się już nie przyda.

A dziś znów powiał nad głową półsennej
Broniąc jej z pola uchodzić niegodnie,
Urok Przyrody i duch Winkelryda.

6.

O duchu boży, z wirchów tych krzesanic,
Z wód tych głębiny do tak bujnych lotów
Przynaglający człowieka, że za nic
Ma oneć drogi, skąd nie ma powrotów!

Gdzież twa ojczyzna? Nie uznajesz granic,
Kreślonych ręką zuchwałych despotów:
Do piersi ludzkich, jak do swych kochanic,
Schodzisz z miłością, tam masz dom swój gotów.

W blaskach Południa, w sinych mgłach Północy,
Co się zwieszają nad zgnębionych ziemią
Ciężkim ołowiem, twoje iskry drzemią.

Ale jak długo nieraz świat ten czeka,
Byś je rozżegnął tchem swej wielkiej mocy
I ich płomieniem rozgrzał pierś człowieka!

7.

Wiej, płyń — nie przejdzie ten twój ruch bezpłodnie —,
Tocz się, pierś ludzką swem tchnieniem rozpieraj,
Pokoju ciche przybytki otwieraj,
Lecz miłująco, pieść i głaszcz łagodnie.

A jeśli trzeba, Samsona pochodnie
Rozpal, na kłamstwo żelazem nacieraj.
Mów »żyj!« jednemu, drugiemu »umieraj!«
Aż wzniesiesz cnotę, a zniweczysz zbrodnię.

Nie jedno zginie, co, na pozór żywe,
Oddawna stoi nad śmierci krawędzią,
Bo nie chce wchłaniać twych światła potoków...

Wszystko, co spełnisz, cne i sprawiedliwe:
Wszakże ty jeden masz prawo być sędzią
I wykonawcą swych świętych wyroków...

8.

Cóż, że w zamęcie dziejowych orkanów,
Gdy się nad światem stęsknionym rozjarzy
Blask twój, wiew jakiś przygasi go wraży,
Jęk budząc nowy śród zdeptanych łanów?

Cóż, że z twej klęski szydzi śmiech szatanów,
Aż nawet w sercu natchnionych pieśniarzy,
Twojej świątyni stróżów i kapłanów,
Wiarę w twą siłę mróz zwątpienia warzy?

Przemijający to tryumf, choć wieki,
Płodne w łzy gorzkie, w klątwę i w krwi rzeki,
Trwa nieraz orgja radości piekielnej.

Lecz czem są wieki w Żywota łańcuchu?
Czem chcą, niech będą, ty je przetrwarz, duchu,
Bo, idąc z Boga, jesteś nieśmiertelny!

Axelstr. 21. lipca 1885.

9.

Na szare turnie cichy półmrok pada
I zwolna spływa po granitów zrębie,
Otula świerków rozwełnione stada,
Ściele po toni swe puchy gołębie.

Jakaś się chmurka ściera na skał zębie,
Wietrzyk tajemne wieści opowiada,
Seledynowe zasypiają głębie,
Nagich krzesanic zasypia gromada.

I oddech grani i oddech jeziora
W srebrne, powiewne, lekkie mgły się zmienia,
Chcące oplątać duszę w swoje sidła.

Lecz do spoczynku ona dziś nie skora:
Zrywa się naprzód bez lęku i drżenia —
Widać, że nowe przybyły jej skrzydła.

10.

Żegnajcie wody! Z rozwartemi oczy,
Czujny, a świeży, duch mój precz ulata
Tam! gdzie się niebo ze szczytami brata,
Gdzie się lawina z hukiem gromów toczy.

Gdzie szumem kaskad groźny twórca świata,
Dech prabytowy, w wiecznych śniegach broczy —
W promieniach życia albo w śmierci mroczy —,
Tam płynie dusza, w moc i hart bogata.

Żegnajcie wody! Wyżej! coraz wyżej
Pójdzie — do niebios granic się przybliży,
Przez skał urwiska, przepaściste lody,

Kogo tych waszych głębin wiew owionie:
Taką ma siłę duch, co wasze tonie
Wziął za mieszkanie — wielki duch swobody,

11.

Ozwał się z dolin dzwon i po przestworze
Srebrnemi dźwięki, jak po fali, płynie:
W tej uroczystej wieczoru godzinie
Pnie się po graniach, pełza po jeziorze.

Raz jeszcze dusza patrzy ku głębinie:
W półśnie się modli głębia i w pokorze
Turnie, opadłe na świerkowe łoże,
W półśnie się modlą na ten dzwon w dolinie.

Wokół przenika jakieś tchnienie boże
Tę kryształową wolności świątynię —
Dusza od modłów wstrzymać się nie może:

Cała się w ciszę półsenną owinie
I w uroczystym modli się wieczorze —
Z dzwonem, co echem gdzieś w bezmiarach ginie.

W drodze ku Altdorf 21. lipca 1895.

Jan Kasprowicz.

Mniszka-chorąży

(La monja Alferez).

(Ciąg dalszy).

II.

Będąc nowicjuszem w morskiem rzemiośle, nacierpiałem się nie mało podczas podróży. Wuj mój, nie wiedząc, kim byłem, polubił mię bardzo i wyróżniał więcej jeszcze, dowiedziawszy się, zkąd pochodzę i jak się nazywają moi zmyśleni rodzice. Nie domyślał się niczego i znalazłam w nim dobrą opiekę...

...Skierowaliśmy się do Nombre de Dios i staliśmy tam przez dni dziewięć, ale ponieważ umierało nam tam wielu ludzi, przyśpieszyliśmy odjazd.

Kiedy już okręt nasz naładowano srebrem i wszystko było gotowe do powrotu do Hiszpa-

nji, urządziłem figla memu wujowi, zabierając mu pięćset »pesos«. O dziesiątej w nocy, korzystając ze snu jego, wyszedłem i powiedziałem straży, że kapitan wysyła mię jeszcze na ląd w interesie. Ponieważ znano mię dobrze, pozwolono mi przejść z łatwością. Zeskoczyłem na ziemię i tyle mię tylko widziały ich oczy. W godzinę potem dano z moździerza sygnał pożegnalny, podniesiono kotwicę i flota puściła się w drogę.

Po odpłynięciu armady, zgodziłem się na służbę do kapitana Juana de Ibarra, faktora kas królewskich w Panamie, żyjącego dotychczas. Z nim też pojechałem do Panamy i przebywałem tam około trzech miesięcy... Potem spotkałem Juana de Urquiza, kupca z Truxillo, zrobiłem z nim umowę i doskonale mi się działo.

III.

Z Panamy pojechałem fregatą, wraz z moim patronem Juanem de Urquiza do portu Paita. W niedalekiej odległości od Manty spotkały nas takie wichry, że statek nasz się rozbił. Ci, którzy umieli pływać, jak ja, mój pryncypał i kilku innych jeszcze, dotarli do brzegu; reszta zginęła. Dopłynęliśmy do Manty na okręcie królewskim, co nas nie mało kosztowało, dość, że pojechaliśmy i przybyliśmy wreszcie do Paito.

Mój pan znalazł tam, jak się spodziewał, wszystkie swoje towary, naładowane na statku kapitana Alonso Cerrato, i poleciwszy mi wydobycie ich ztamtąd podług numerów porządkowych — wyjechał. Wziąłem się zaraz do roboty, wyładowując towary i wysyłając mu je stopniowo do Sany, leżącej o mil sześćdziesiąt od portu Paita. Nakoniec, z ostatniemi pakami pojechałem z Paity do Sany. Mój pryncypał przyjął mię tam z otwartemi rękami, okazując mi zadowolenie z mego sprawowania się. Kazał mi natychmiast sporządzić dwa przyzwoite garnitury, jeden czarny, drugi kolorowy, i obchodził się ze mną wogóle bardzo dobrze. Zainstalował mię w jednym ze swych sklepów i oddał mi do rozporządzenia, tak w towarach, jak i w pieniądzach ze trzydzieści tysięcy »pesos«, wypisawszy cennik szczegółowy, którym miałem się kierować przy sprzedaży. Zostawił mi dwóch niewolników do usługi, murzynkę do kuchni i wyznaczył mi trzy piastry na codzienne wydatki. Uczyniwszy to wszystko, zabrał ze sobą resztę swego mienia i wyjechał do miasta Truxillo, odległego o mil trzydzieści.

Zostawił mi też w wymienionym wyżej cenniku listę osób, którym mogłem dawać towary na kredyt, a na pierwszem miejscu stała tam donna Beatriz de Cardenas, gdyż miał dla niej szczególne względy i zobowiązania. Pozostałem więc w Sanna w moim sklepie, prowadząc handel i księgi stosownie do jego instrukcyj...

...Donna Beatriz de Cardenas poczęła zabierać materje i w tak szerokich rozmiarach pozwalała korzystać sobie z kredytu, żem się zaniepokoił i nie wzbudzając jej podejrzeń, zawiadomiłem o tem mego patrona w Truxillo. Odpowiedział mi, że wszystko było w porządku i że, jeśliby ta dama zażądała odemnie całego sklepu nawet, powinienbym był jej go oddać. Otrzymawszy list taki i schowawszy go dobrze na wszelki wypadek, pozostawiłem rzeczy naturalnemu ich biegowi.

Ktoby mógł mi przepowiedzieć, że ten spokój tak krótko trwać będzie, i że nastąpią po nim takie wielkie troski! Siedziałem pewnego dnia świątecznego w teatrze, na opłaconem miejscu, kiedy nagle niejaki Reyes zjawił się wprost przedemną i usiadł na swem krześle, tak się przysunąwszy do mnie, że mi przyszkadzał patrzeć. Poprosiłem go, aby się trochę odchylił. Odpowiedział impertynencko, ja zrobiłem uwagę w tym samym tonie. Wówczas kazał mi się wynosić, grożąc, że mi twarz rozetnie, jeżeli go nie usłucham. Nie mając przy sobie nic prócz sztylecika, musiałem mu ustąpić i wyszedłem pełen rankoru. Kilku przyjaciół, powiadomionych o zajściu, podążyło za mną i starało się mię uspokoić. Nazajutrz, a był to poniedziałek, kiedym był zajęty handlem w swym sklepie, Reyes ukazywał się kilkakrotnie przed jego drzwiami. Zwróciło to moją uwagę, zamknąłem sklep, schwyciłem nóż i pobiegłszy do cyrulika, kazałem go wyostrzyć. Wziąłem też pierwszą lepszą szpadę i zobaczywszy Reyes'a, przechadzającego się z kimś innym przed kościołem, podszedłem do niego z tyłu i krzyknąłem: — »Hola! Panie Reyes!« On się obraca, ze słowami: — »Czego chcą odemnie?« »Oto tu jest twarz, którą się rozcina!« powiedziałem, dając mu cięcie w policzek. Podniósł ręce do rany, a przyjaciel jego dobył szpady i natarł na mnie. Uczyniłem to samo. Żelaza się starły i wsadziłem mu ostrze w lewy bok. On upadł, a ja pobiegłem do kościoła. Wkrótce potem *corregidor* don Mendo de Quinnonez wszedł tam, zaprowadził mię do więzienia, kazał mię okuć i nałożyć kajdany.

Dałem znać memu pryncypałowi, Juanowi de Urquiza, który był w Truxillo, o trzydzieści mil od Sanny. On przyleciał, mówił z corregidorem i czynił inne starania, wskutek, których złagodzono mi warunki więzienia. Tymczasem sprawa postępowała swoim torem. Po trzech miesiącach procedury i wstawiennictwa biskupa, zostałem znowu internowany w kościele, z którego byłem zabrany.

Podczas tego zamięszania pan mój powiedział mi, że aby wyjść z tego konfliktu i uniknąć wygnania, a nawet niebezpieczeństwa śmierci, najlepszym środkiem będzie ożenienie się moje z donną Beatriz de Cardenas, której siostrzenica była żoną tego samego ranionego przezemnie Reyes'a, a więc w ten sposób wszystko dałoby się ułożyć. Trzeba wiedzieć, że donna Beatriz była ulubienicą mego pana, i że w ten sposób mógłby on być pewny nas obojga, mnie — co do swojej służby, jej — co do swej przyjemno-

ści. Zdaje mi się, że oni oboje musieli się zmówić, gdyż po osadzeniu mnie znowu w kościele, wychodziłem w nocy i szedłem do wymienionej damy, która była dla mnie nadzwyczaj uprzejmą. Obawiając się niby wymiaru sprawiedliwości, błagała mnie ona, żebym nie wracał w nocy do kościoła i zostawał przy niej. Pewnej nocy wreszcie zamknęła mię ona i zapowiedziała, że niech się co chce dzieje, ja muszę spędzić noc u niej i ścisnęła mię tak mocno, że musiałem użyć siły, aby się uwolnić i uciec.

Pośpieszyłem powiedzieć memu pryncypałowi, że nie może być mowy o tem małżeństwie, że nie zgodzę się na nie w żadnym razie. On się uparł i obiecywał mi złote góry, wychwalając mi piękność i przymioty damy, szczęśliwe wyjście z całej sprawy i rozmaite inne względy. Pomimo to byłem niewzruszony. Widząc to, mój pan zaproponował mi przeniesienie się do Truxillo z zachowaniem tych samych warunków i obowiązków, na co się też zgodziłem...

Ale nie był to jeszcze koniec awantury. Dalszy ciąg jej, jak nam opowiada dalej donna Catalina, odbył się już w trzy miesiące później, w Truxillo.

...Mój murzyn powiedział mi: »jest tu trzech zbrojnych, o ile mi się zdaje, ludzi«. Wyprawiłem ze sklepu interesanta i posłałem po Franciszka Zerain; przyszedł on niezwlekając i rozpoznał trzech ludzi, znajdujących się u miejsca. Był to Reyes ze swym przyjacielem, tym właśnie, którego powaliłem wówczas na ziemię i jeszcze jeden.

Poleciwszy murzynowi zamknąć drzwi, wyszliśmy na ulicę. Zmierzyli się przeciwko nam natychmiast, my też spotkaliśmy ich ze swej strony, jak było potrzeba — i nieszczęście chciało, że zadałem znowu cios tak zręczny, przyjacielowi Reyes'a, że upadł na ziemię. Walczyliśmy dalej, dwóch przeciw dwóm, z przelewem krwi. Tak stały właśnie rzeczy, kiedy nadszedł *corregidor* don Ordonno de Aguirre, z dwoma sierżantami. Dostałem się w jego ręce. Franciszek Zerain uciekł i schronił się do miejsca świętego. *Corregidor* prowadząc mię własnoręcznie do więzienia, gdyż sierżańci z innymi mieli do czynienia, zapytał mnie, kim i zkąd byłem. Usłyszawszy, że byłem biskajczykiem, powiedział mi w języku basków, żebym sobie rozwiązał, przechodząc koło katedry, pas skórzany, na którym mię prowadził i żebym się tam schronił, co też pośpieszyłem uczynić. Schowałem się do kościoła, a on pozostał, wydając głośne okrzyki.

Z mego schronienia dałem znać o wszystkiem pryncypałowi w Sanna. Przybył on niezwłocznie i starał się załagodzić sprawę, ale nie było na to żadnego sposobu, gdyż winę zabójstwa powiększono jeszcze jakiemiś okolicznościami. Trzeba więc było się zdecydować na ucieczkę do Limy. Zdałem rachunki, mój pan kazał mi zrobić dwie zmiany odzienia (dwa garnitury), dał mi dwa tysiące sześćset »pesos« i list rekomendacyjny i pojechałem.

C. d. n. *Rom. Baudouin de Courtenay.*

MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy).

Pan Ludwik powstał, wzniósł kielich do góry i rzekł:

— Owszem; powiem, bo mi na sercu to leży, powiem, bo mogę powiedzieć krótko. Mówcą nie jestem, pięknych frazesów robić nie potrafię, ale też, jak w tym razie, i nie potrzebuję. Nie orator, na długą perorę się nie zdobędę, jeden wyraz wystarczy i jeżeli powiem, że mój przyszły zięć jest perła, to powiedziałem wszystko.

— Brawo! zdrowie perły, oczywiście do dna!

— Zdrowie perły!

— Zdrowie zięcia!

— Znacie mię kochani przyjaciele — rzekł pan Ludwik, — że jestem szczery człowiek. Co w sercu to i na języku, obłudą się brzydzę, chwalić tego nie będę, co pochwały nie warto, ani też lada czem entuzjazmować się nie mam zwyczaju, ale mówię wam, że to złoty chłopak, brylantowy kawaler! Nie dlatego, że się z moją córką żeni i że mogę go już poniekąd za własnego syna uważać, ale dlatego, że taki jest jak jest. My, ojcowie mający córki na wydaniu, wiemy bardzo dobrze, że teraz jest wielki nieurodzaj na porządną młodzież.

— Świętą prawdę powiedziałeś, panie Ludwiku — odezwał się jeden z uczestników zebrania, — świętą prawdę. Ja mam, jak ci wiadomo, cztery córki, a że panienki nie brzydkie i nie biedne, więc się koło nich kawalerowie kręcą.

— A no, to dobrze.

— Byłoby dobrze, ale... żaden nic nie ma, na posag się tylko ogląda, a jeżeli się znajdzie taki, który cokolwiek posiada, to szuka żony dziesięć razy bogatszej. W armatę wszystkich nabić i wystrzelić, żeby ani śladu nie pozostało.

— Pessymista z kolegi — odezwał się najbliższy sąsiad mówiącego, ja w obronie młodzieży staję i powiadam, że tak źle nie jest. Są jeszcze dzielni chłopcy.

— Tak mówisz, bo masz kilku synów i chociaż są niby tacy dzielni, dotychczas ani jeden z nich się nie ożenił.

— Mają czas. Cóż znowuż, żeby tak zaraz za młodu mieli się wprzęgać w jarzmo obowiązków! Niech użyją swobody, niech wyszumią trochę.

— Znam ja to szumienie i tę swobodę; kiedyś żony rumianek gotować im będą i kataplazmy przyrządzać. Żebyś kolega córki miał, tobyś umiał to odczuć, ale żeś się dochował samych synów, więc za nimi ciągniesz i nie ubliżając ci, taki sam łobuz jesteś jak i oni.

— I kolega, pomimo czterech córeczek, święty nie jesteś. Znamy się nie od dzisiaj, mój kochany.

— O proszę.

— Panowie! — zawołał pan Ludwik, — zaprzestańcie sporów. Dzień dzisiejszy jest dla mnie szczególnie uroczysty, jesteśmy tu zgromadzeni w miłem, przyjacielskiem gronie, dobrze nam, wesoło, pocóż więc jakieś kwestje? Niech się harmonja nie psuje, oto wychylmy kieliszek za zdrowie wszystkich ojców wogóle, takich którzy mają samych synów, lub same córki, takich, którzy mają i synów i corki, wszystkich ojców bez wyjątku. Niech im się dobrze dzieje, niech mają pociechę.

Toast został bardzo sympatycznie przyjęty, że jednak w towarzystwie znajdowało się dwóch starych kawalerów, przeto, aby nic nie uchybić wychylono jeszcze jeden kielich, za zdrowie dorodnej młodzieży.

Pan Ludwik rozrzewnił się i wciąż o zaletach przyszłego zięcia rozpowiadał, nie mogąc się dość nachwalić jego pracowitości, poszanowania grosza, dbałości o wygody mieszkania i życia.

— Idealny, idealny, powiadam wam idealny w całem znaczeniu tego wyrazu. A jakie zasady! Chłopiec ma trzydzieści lat życia, właściwie nie ma jeszcze trzydziestu skończonych, a proszę posłuchać jak mówi... jakie ma wyrobione zdanie, jakie doświadczenie, co za rozsądek! Aż miło posłuchać! Nie dziw, że panienka w nim się zakochała, kiedy ja stary, a przecież polubiłem go z całego serca... Raz przyszedł, powiadam wam, po południu, kobiet nie zastał, gdyż, z powodu wyprawy, ciągle teraz po mieście biegają; ja sam tylko byłem w domu i robiłem rachunki. Tylko okiem na nie rzucił, wszystko objął w lot; zauważył, że niektóre lokale wypuszczone za tanio, doradził, żeby je podwyższyć, i miał słuszność, dalibóg miał słuszność! Ja jestem za miękki i choćbym chciał większy dochód wyciągnąć, jak mi lokator zacznie piszczeć, że mu ciężko, że dużo dzieci ma, a niewiele zarobku, to machnę ręką i mówię: Niech cię, siedź jak siedziałeś, płać regularnie i daj mi święty pokój, a jak ci piec dymi, to go gliną oblep i mnie tem głowy nie zawracaj.

— To bardzo słusznie sąsiad robisz, bardzo sprawiedliwie, te reperacje każdemu gospodarzowi kością w gardle stoją.

— I ja tak myślałem do niedawna — rzekł pan Ludwik, ale Ignaś mi oczy otworzył. On bo ma europejski sposób widzenia rzeczy.

— No?

— Powiada wprost przeciwnie: lokale wszystkie odświeżyć, jak najlepiej ma się rozumieć, byle na optykę, a komorne tak podnieść, żeby koszta odświeżenia kilka razy pokryło. O! widzicie co za myśl!

— Prawda.

— Idealny chłopak, poglądy wyższe ma, zasady, zdania fundamentalne, głębokie. On naprzykład twierdzi, że każdy człowiek powinien się żenić choćby tylko dla przedłużenia sobie życia, i ma słuszność, słowo honoru daję, że ma słuszność.

— Niby pod jakim względem?

— Widzicie, w restauracjach źle żywią, licho wie, jakie produkta dają, ztąd choroby, katary kiszek i tym podobne dolegliwości: kto zaś jest żonaty i prowadzi kuchnię w domu, unika niebezpieczeństwa. Rozwaga, trzeźwość umysłu, praktyczność na każdym kroku, i jak takiego chłopaka nie kochać?

Późno już było, stróż z łoskotem wynosił sztaby żelazne, aby sklep zamknąć; pan Ludwik więc pożegnał swoich towarzyszów i w najlepszym humorze, chociaż nie dość pewnym krokiem, udał się do domu.

Bardzo delikatnie na stróża zadzwonił, pocichutku kluczem, który zawsze nosił ze sobą, drzwi mieszkania otworzył i wszedł.

Światło było zgaszone, żona i córka już spały. Zachowując się o ile możności najostrożniej, żeby szmeru nie robić i żonie spoczynku nie przerywać, doszedł szczęśliwie do łóżka, rozebrał się i usnął natychmiast snem sprawiedliwego.

Termin ślubu wyznaczono na koniec października, ku wielkiemu niezadowoleniu ciotki Weroniki, która oświadczyła wręcz, ze wyprawa zrobiona w tak krótkim czasie nie będzie miała najmniejszego sensu. Trzeba się na niczem nie znać i o niczem nie mieć najmniejszego wyobrażenia, żeby w podobny sposób postępować, ale trudno, jak się ludziom w głowach pali i przewraca, to najrozsądniejsze perswazje do przekonania trafić nie mogą i żadnego skutku nie odnoszą. Kilkakrotnie ciotka miała zamiar umyć ręce od wszystkiego, usunąć się zupełnie, dać za wygranę, nie być nawet na weselu, ale nie mogła. Jakżeby sami dali sobie rady?

Nie wykonała wię pogróżek i postanowiła wytrwać aż do ostatniej chwili. Później niech się

dzieje co chce, niech sobie głowę urywają, ale Teofilka musi mieć wyprawę porządną co się zowie i pamiętać o tem, że zawdzięcza ją ciotce.

Ale dziwna jest ta Teofilka, nie można powiedzieć, że zupełnie nie dba o stroje i o wyprawę, owszem zajmuje się tem, przymierza, wypowiada nawet swoje zdanie, ale według ciotki, to nie jest takie zajęcie, jakie być powinno, Teofilka nie entuzjazmuje się, nie objawia zachwytu, ani nieukontentowania, słowem, traktuje tę rzecz, jak coś bardzo pospolitego, jak gdyby przygotowywanie wyprawy ślubnej trafiało się codzień.

Ciotkę to martwi i zastanawia, a przytem i całe zachowywanie się siostrzenicy wydaje jej się szczególnem. Nazajutrz po oświadczeniu się pana Ignacego, przybiegła do niej do sklepu, przynosząc tę wiadomość, wesoła, szczęśliwa i rozpromieniona, a taka w tem ożywieniu ładna, że ciotka dość jej się napatrzeć nie mogła.

(C. d. n.).

Zola o swej nowej powieści.

Zola wdał się w szerokie objaśnienia z sprawozdawcą paryskiego »Matin«, co do swych przygotowawczych prac do swej trylogji: »Lourdes-Roma-Paris«.

»Lourdes«, powiada on, napisałem całkiem przypadkowo. Gdym wracał z moją żoną z Pireneów, zwrócił moją uwagę pochód pielgrzymów o pokroju obcym, orjentalnym, ten nadzwyczajny żar wiary w naszym rzekomo tak sceptycznem stuleciu. W tej chwili wpadło mi na myśl, zbadać źródło i przyczyny tego zapału, a ponieważ mam zwyczaj rzeczy uogólniać, więc chciałem zachować w tej mej nowej książce odpowiednią ilość miejsca dla »nowo-katolicyzmu«, tego ciekawego i dziwnego prądu, który usiłuje »religję zdemokratyzować«, sprowadzając ją do jej początków. Powiedziałem to otwarcie jeszcze przed zaczęciem powieści. Tymczasem nieprzyjaciele moi wyświadczali mi mimochcąc wielkie usługi. Powiadali głośno, że na »nowo-katolicyzmie« nie rozumiem się, że w Lourdes nowo-katolicyzm nie gra żadnej roli, że chrześcijański socjalizm trzeba studjować w Rzymie. Poznałem, że mieli słuszność — postanowiłem przeto zadość uczynić ich żądaniu.

Ponieważ jednak umysł mój chylił się do trylogji, postanowiłem napisać trzy książki »Lourdes Roma-Paris«. — »Lourdes« — to resztka wiary średnich wieków, »Roma« — to polityczna strona religji, a »Paryż« — to bilans idei i czynów pogrążającego się już w morzu przeszłości stulecia.

Wyszedłem więc do stałej filozoficznej idei, z dokładnym planem badań, a chciałem mianowicie zbadać, dlaczego w sto lat po wielkiej rewolucji francuskiej, katolicyzm stara się zbudzić do nowego życia i stanąć na nowym gruncie. Po anarchistycznych zamachach umysły wstrząsnęły się, poczęły szukać jakiejś silnej moralnej podstawy. — Czy może tą podstawą być odmłodzony, zdemokratyzowany katolicyzm?

Przewodnią nitkę powieści postawiłem w początku podróży do Rzymu. »Abbé Pierre« (bohater z »Lourdes«), powraca z swej pielgrzymki, wieczna ofiara moralnych walk, szukając wiecznie jeszcze prostej, »a prawdziwej wiary«, której jednak znaleść nie może. Po trzyletnim kryzysie rzuca się on do zakładania dobroczynnych instytucyj, mających zabezpieczyć los ubogich i nieszczęśliwych, i w pracy tej odnajduje spokój ducha, z entuzjazmem pochwytuje idee Leona XIII., zapala się do chrześcijańskiego socjalizmu, i pisze o tem książkę w tem przekonaniu, że cały świat katolicki będzie go sławił. Spotyka go jednak gorzkie rozczarowanie, bo jego dzieło znajduje sobie miejsce na »indeksie«, a Abbé Pierre jedzie do Rzymu chcąc bronić głoszonych zasad, lecz nadaremnie. Filozoficzna część książki polega na tych trudnościach, jakie spotyka w tych pomocniczych elementach, z którymi się łączy i w tych nieprzezwyciężonych przeszkodach, jakie w swej drodze znajduje.

Z tym planem przyjechałem do Rzymu. A przecież na chwilę straciłem odwagę, wobec ogromu zadania i jego trudności. Zewsząd mówiono mi: »Czy on oszalał ten Z o l a, po Chataubriandzie i Göthem brać się do takiego tematu, jak Rzym. Rzym jest morzem, nieskończonością. Lecz to zniechęcenie trwało tylko chwilę i dlatego potem wziąłem się do dzieła, z większym zapałem i rozszerzałem jego ramy z dnia na dzień. Początkowo zamierzałem wysunąć w mym dziele naprzód i zarysować dokładniej tylko Francuzów, a z Włochów wprowadzić tylko kilka postaci, obawiałem się bowiem, że nie zrozumiem psychologji Włochów i fałszywie ich przedstawię. Dałem się jednak porwać materjałowi i wprowadziłem 40 do 50 postaci włoskich do powieści, Francuzów zaś, jest tylko kilku. Prócz tego, znajdzie się naturalnie w powieści i dramacik miłosny.

Nie mogłem widzieć papieża; ale taka audyncja nie mogła mieć dla mnie interesu. Wszystko, co mógłbym przez nią osiągnąć, byłoby tylko fizycznem wrażeniem, a prócz tego gdybym był osobiście widział papieża, to miałbym w pewnych względach związane ręce i byłbym zobowiązany do pewnych względów. Tak jednak nie widziałem papieża i będę mógł wyrażać się całkiem swobodnie.

Z Rzymu przywiozłem dwie skrzynie dokumentów i 600 stronic notatek. Uporządkowanie tych notatek kosztowałe mię 6 miesięcy pracy, zanim powziąłem ostateczny plan. Zresztą ja pracuję zwykle tym samym sposobem. — Nakreśliwszy sobie cały plan rozdziałami, zbieram dopiero akta, rodowód pojedyńczych osób i cały repertuar moich notatek. Tak np obserwowałem będąc w Rzymie kilka razy zachód słońca i to z rozmaitych miejsc, jak z Kolosseum, z Via Appia, i św. Piotra. Dzięki temu mogę znaleść w nowych notatkach wszystko, co mi jest potrzebne. — Obecnie piszę pierwsze rozdziały i sądzę, że z końcem stycznia skończę swą powieść...

Mój pogląd o nowo-katolicyzmie jest następujący: Gdy najbardziej wierzący Francuz przybędzie do Rzymu i dowie się o tem wszystkiem, co w sferach watykańskich mówią i myślą, to spotyka go straszne rozczarowanie. Ci ludzie zajmują się przedewszystkiem polityką. — Wielu z nich jest prawdziwymi katolikami; wypełniwszy jednak swe religijne obowiązki zostawiają Boga i religję w spokoju i powracają do politycznych kombinacyj.

Wszyscy papieże marzyli o panowaniu nad światem. Skoro papiestwo zobaczyło tryumf »ludów nad królami«, wówczas zrodziła się pod wpływem politycznej konieczności myśl powrócenia do Zbawiciela i Ewangelji, do religji maluczkich i wydziedziczonych.

X. T.

Rozbiory i sprawozdania.

Józef Wolff, — Kniaziowie litewsko-ruscy od końca XIV. w. — Warszawa 1895.

Wielkie, 698 stron in 4to obejmujące, dzieło p. Wolffa jest w gruncie rzeczy obszernem studjum heraldycznem, mającem na celu wykazanie, jakie to rody »kniaziów« zaludniały Litwę i Ruś od końca XIV. w. począwszy, jakie znaczenie ich tytułów i jakie pochodzenie. Na pierwszą z tych kwestji daje autor »Kniaziów« wyczerpującą odpowiedź w szczegółowej części swego dzieła, w której kreśli źródłowe genealogje 112 rodów kniazich, mieszkających na obszarze litewsko ruskim w w. XV., XVI i z początkiem XVII.; najnowsze czasy, t. j. wieki XVIII. i XIX., nie wchodzą już w zakres pracy p. Wolffa. Co oznacza tytuł »kniaziów«, o tem pisze autor głównie w przedmowie. Słusznie twierdzi on, że różnica między tytułami »kniaź« i »książę« to dopiero wytwór najnowszych czasów. Różnica to pierwotnie jedynie majątkowa — ubogi »kniaź« poprzestawał na dawnym tytule, bogaty, jak np. Radziwiłłowie, starali się o tytuły »książąt S. J. R«, aż wreszcie doszło do tego, że wogóle tytuł książęcy nabrał wyższego heraldycznego znaczenia od tytułu kniażego.

Co do pochodzenia »kniaziów«, to nie mniej słusznie dowodzi p. Wolff, że są to rozdrobieni potomkowie dynastji litewskich i ruskich Ruzykowiczów. Obok takich dynastycznych »kniaziów«, inni nie dynastyczni są w stanowczej mniejszości. Wśród ostatnich widzimy potomków »sołtanów« ordy perekopskiej, sprowadzonych na Litwę przez W. Ks. Witołda; widzimy dalej kniaziów-samozwańców i w XVI. jeszcze wieku kniaziów-chłopów t. j. wójtów wsi, osadzonych na »prawie wołoskiem« Dynastyczni kniaziowie posiadają z reguły aż do unji lubelskiej swoje »udziały« tj. majątki, w których dziedzicznie lub dożywotnio władają nawet nad bojarami. Niesłusznie chce p. Wolff stworzyć różnicę pomiędzy pojęciem litewsko-ruskiego »udziału« kniażego a pojęciem zachodniego »lenna« (feudum). W istocie rzeczy różnicy tutaj niema żadnej: nie są to wcale dwa pojęcia prawno-społeczne, ale jedynie dwa wyrazy — tak samo, jak wyrazy »kniaź« i »książę«. Unja lubelska zrównała kniaziów z bojarami; odebrała im »udziały«, pozostał im tylko tytuł bez znaczenia, który w XVII. w. i później zdobi często ludzi bez majątku, znaczenia i zasługi. Kniaziowie tatarscy dochowali się, o ile poprzechodzili na katolicyzm; samozwańcy stworzyli rody, wywodzące się fałszywie od dynastycznych książąt; wreszcie kniaź-chłop, to tytuł urzędowy wołoskiego wójta, który znikł razem z assymilacją prawa osadniczego wołoskiego do warunków polskich. Tych ostatnich »kniaziów« mieliśmy w XV. w. najwięcej po wsiach Pokucia, zwanego wówczas »Mała Wołoszczyzną«, jak to wykazał w osobnej rozprawie Dr. A. Czołowski.

Tyle mamy do powiedzenia o rozprawie p. Wolffa, a treść tych naszych kilku słów recenzji wystarcza sama przez się, aby wykazać, że jestto dzieło napisane umiejętnie i dla historjografji polsko-ruskiej cenne.

K. J. G.

PRO MEMORIA.

14. sierpnia 1824. Wyrok carski skazał na wygnanie 20 studentów, którzy należeli do związku Filaretów. Między wygnanymi znajdował się i Adam Mickiewicz, na karę zaś więzienia zasądzeni zostali Suzin i Czeczot, których imiona wieszcz przekazał wiecznej pamięci w swoich »Dziadach«.

15. sierpnia 1772. Z kapitulacją Częstochowy upadła Konfederacja Barska, zawiązana dn. 29. lutego 1768 r. w celu oswobodzenia się z pod przewagi i wpływów moskiewskich.

15. sierpnia 1809. Wojska ks. Warszawskiego objęły w posiadanie Kraków, który wraz z częścią Galicji został przyłączony do Księstwa. Połowę dochodów z żup solnych w Wieliczce przyznano również Księstwu. Napoleon sądził, że to będzie wystarczającą dla Polaków nagrodą za to, że podczas wojny Francuzów z Austrjakami 40 tysięcy wojska austrjackiego, zaszachowanych w Księstwie, nie mogło pośpieszyć z pomocą głównej armji, bitej raz w raz przez Francuzów; Polacy atoli podnieśli oręż nie dla odzyskania drobnej cząstki swej ziemi, lecz dla wskrzeszenia całej wielkiej Ojczyzny.

17. sierpnia 1793. Na sejmie w Grodnie podpisano ratyfikację układu podziałowego z Rosją. Posłowie wybrani pod groźbą bagnetów, to też uchwała wyżej wymieniona przeszła 66 głosami przec w 21.

18. sierpnia 1849. Legjon polski, który pod wodzą sławnych generałów Bema i Wysockiego brał udział w powstaniu węgierskiem, zmuszony opuścić Węgry, udał się do Serbji.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.